Świat powieściowy.

Nr. 140 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

— Mniejsza o to, gdzie się przeniesiemy — ręką machnęła — byle nie do domu kuzynka Jerzego. Ale kiedy ty już Anulko, pozbędziesz się tych krep i kirów żałobnych? Nie masz jeszcze dwudziestu czterech lat, nie możesz przecie chodzić wiecznie czarno ubrana, dla tego, że ci mąż kiedyś tam umarł! Myślę, iż dość by już było tej żałoby, do tego po takim staruszku zgrzybiałym!

— Nie żałuje się według lat, tylko według straty poniesionej. Czy sądzisz, żem dla tego mniej męża kochała?

— No! zapewne... kochamy przecież i dziadunia, jeżeli jest dobrym dla nas. W tym rodzaju musiało być i twoje do pana prezydenta przywiązanie. Mnie bo wyglądał on zawsze na dziadunia... a i tobie musiał się tak samo wydawać... bo dla czegoż w dzień ślubu płakałaś tak gorżko, z rękami rozpaczliwie nad głową załamanemi?

— W dzień ślubu? — Anna powtórzyła machinalnie, dziwnie pomięszana. — Śniło ci się Lily!

— Oh! nie przed ołtarzem. Wtedy byłaś już zimną i spokojną, jak posąg z marmuru, ale przedtem, gdyś myślała, że cię nikt nie podpatrzy. Pan prezydent polecił mi jeszcze wcześnie z rana, żebym odniosła do twojej sypialni pyszny bukiet dla ciebie, ze stolicy przywieziony. Byłam dumną, okazanem mi zaufaniem i weszłam cichuteńko, aby cię napaść z nienacka i sprawić miłą niespodziankę. Myślałam, iż cię zastanę przy toalecie. Tymczasem, gdym ostrożnie drzwi otworzyła, pyszna suknia biała atłasowa, olbrzymi welon koronkowy, wieniec z kwiatu pomarańczowego, kosztowne perły i garnitur brylantowy, wszystko leżało nietknięte, ty zaś klęczałaś obok sofki, z twarzą wciśniętą w poduszki, łkając tak gwałtownie, jakby ci serce pęknąć miało. Krzyknęłam przestraszona, a tyś co prawda. zerwawszy się na równe nogi, prędko łzy otarła, zakazując mi najsurowiej, abym chroń Boże, o tem nikomu nie wspominała. Byłam jeszcze wtedy bardzo małą i za głupią, żeby się nad takiemi sprawami bliżej zastanawiać, tyle jednak i ja zrozumiałam, iż nie byłabyś tak gorżko płakała, gdybyś szła za człowieka, przez ciebie kochanego. Teraz wiem dobrze, że to kuzyn Jerzy zmusił cię wyjść za prezydenta, a potem jemu samemu musiało być żal ciebie, bo gdy was łączył przed ołtarzem, był blady jak widmo, i dobrze uważałam drżenie w jego głosie i w dłoni podniesionej, aby was po danym ślubie przeżegnać.

Umysł młodej dziewczynki obległy tłumnie wspomnienia, które niegdyś dziecko pozbierało z bystrością nad lata. Byłaby może jeszcze dłużej rozwodziła się nad niemi, gdyby jej Anna nie była przerwała tonem ostrym i stanowczym:

— Cicho bądź Lily i nie rozprawiaj o rzeczach, których pojąć nie jesteś zdolną! Twoja dziesięcioletnia fantazja, stworzyła sobie wtedy jakąś całą historję w guście bajek o zaklętych królewnach, któremi cię piastunki bawiły, niepodobną jednak w niczem do rzeczywistości. Jerzy nie zmuszał mnię do niczego i ja bym zmusić się nie była pozwoliła. Radził mi tylko uczynić to, na co już sama byłam zdecydowaną. Dobrowolnie poszłam z prezydentem Hertenstein do ołtarza i nigdy tego kroku nie żałowałam. Zakazuję ci raz na zawsze mówić ze mną o podobnych szaleństwach!

Słowa brzmiały tak surowo, do czego Lily ze strony siostry nie była nawykła, iż dotknięta niemi do żywego, miała już na dobre płaczem wybuchnąć, gdy drzwi otworzono i ktoś trzeci wszedł do salonu

Była to osoba znacznie starsza od sióstr obydwóch, lat najmniej trzydziestu, nie grzesząca zbyteczną urodą, dość mimo to przyjemna i sympatyczna, niska, trochę przysadkowata, z wyrazem inteligencji i dowcipu złośliwego w małych, czarnych, żywo latających oczkach, z włosami również czarnemi. Weszła witając serdecznie panią Hertenstein.

— Bawiłyśmy o wiele za długo na przejażdżce, Lily musiała atoli wyznać już szczerze winę przed panią, że ona jedynie to spóźnienie spowodowała.

— Dotąd nie wiem jeszcze o niczem — rzekła Anna, podczas gdy jej siostrzyczka odwróciła się od niej, aby stłumić łzy do ócz gwałtem się cisnące. — Myślałam po prostu, iż pani u swoich rodziców dłużej zabawiłaś.

Panna Hofer, dawna towarzyszka kanoniczki, obdarzona przez nią znacznym zapisem i przyjęta

w spadku przez Annę wraz z całym inwentarzem, potrząsła głową przecząco.

— Leśniczówkę opuściłyśmy bardzo wcześnie, ale panna Lily póty mnię męczyła, póki nie kazałam odjechać powozowi i czekać na nas po drugiej stronie, gdy my tymczasem wdrapałyśmy się ścieżką pomiędzy skałami, aż pod sam zamek w Felseneck. Zabawiło nas to o godzinę dłużej.

— Ach! nie mogłam wytrzymać, żeby choć raz okiem nie rzucić na ten zamek! — zawołała Lily zapominając o całym żalu i dąsach, skoro usłyszała to słowo: Felseneck! — Przez cztery tygodnie, które spędzam w tych stronach, ciągle mi się to nazwisko o uszy obija! Wiem, iż do środka tego miejsca zaklętego, żadna ludzka istota dostać się nie może, ale widzieć musiałam zamek koniecznie bodaj zdaleka! Cudny to budynek! zupełnie jak w bajkach! wspaniały, imponujący, ale w koło panuje cisza grobowa, jakby w tem miejscu życie wszelkie ustało. Całkiem naturalnie! W zamku żyje przecież ów potwór zaklęty, ukręcający po prostu głowę każdemu śmiałkowi, który odważy się przekroczyć granice jego państwa!

— Tak znowu źle nie jest Lily! co w tem, toś już trochę przesadziła — zaprotestowała uroczyście panna Hofer. — Jakkolwiek okropne rzeczy mają się dziać w zamku Felseneck, głowy jednak dotąd ordynat Werdenfels nikomu nie ukręcił!

— Nie? — spytała Lily przeciągle, widocznie zawiedziona. — No! byłam na to Bogiem a prawdą przygotowana zupełnie, gdyby nas tak był spostrzegł przypadkiem! Czekałam, iż brama zamkowa, wyzionie na nas lada chwila jakiegoś smoka ognistego, gdy tymczasem wyszedł z zamku tylko bardzo przystojny młody człowiek, z dubeltówką i torbą myśliwską. Mijając nas, ukłonił się z rycerską galanterją. Jak on też mógł się dostać do zamku? Byłam przekonaną najmocniej, iż całe Felseneck jest zapełnione piekielnemi postaciami, skoro pan zamku już od dawna miał duszę zapisać złemu duchowi!

— Lily! Jak też można żartować w sposób tak bezbożny! — zawołała panna Hofer, żegnając się czemprędzej. — Ani możesz się domyślać, jak głębokie i straszne tajemnice, kryją się w zamku Felseneck! Włosy by ci do góry stanęły, gdybyś się o nich dowiedziała.

Panna Hofer mówiła to z miną dziwnie uroczystą, a Lily uszka nastawiła, skupiając całą uwagę, gdy ku wielkiemu jej zgorszeniu i niezadowoleniu siostra przerwała odkrycia tak interesujące. Zbliżyła się była do drzwi balkonowych, patrząc w ogród, teraz atoli wmięszała się do rozmowy, nie odwracając się wcale ku mówiącym.

— Po co też napełniać główkę Lily takiemi bzdurstwami! Któżby wierzył bajkom, rosiewanym przez lud ciemny i zabobonny!

— Bajkom? — powtórzyła panna Hofer z naciskiem, widocznie urażona. — To nie są żadne bajki!... wiem o tem najlepiej! Mój ojciec był od lat wielu leśniczym w Werdenfels, zanim objął zarząd nad olbrzymiemi borami w Felseneck. On to odnalazł barona Rajmunda przez pół już tylko żywego na szczycie Dziewicy z lodu. Znasz przecie tę skałę Lily?

— Znam! znam! Jeszcze dzieckiem, u kuzyna Jerzego, słyszałam o tej leśnej bogini! Byłabym pół życia ofiarowała! byle tylko przypatrzeć się z bliska Jej Królewskiej Mości i podziwiać ją w całym majestacie, ale niestety nie raczyła nigdy zejść w dolinę!

— Niech nas Bóg od tego uchowa! — wpadła jej w słowo panna Hofer. — Czyż nie wiesz, że gdy Dziewica z lodu ukaże się kiedy ludziom w dolinie, w ślad za nią idzie nieszczęście?

— Prawda, że między ludem utrzymuje się to przysłowie, a raczej legenda, do skały tego nazwiska przywiązana — wtrąciła Anna tonem niezwykle zimnym i sarkastycznym. — Od Dziewicy z lodu wieją bowiem w jesieni i w zimie wichry, zapowiadające długą słotę, lub zamieć śnieżną. Z tamtąd również spadają często lawiny. Zapatrując się więc z tego stanowiska, twoja Dziewica z lodu, panno Hofer, jest istotnie zwiastunem nieszczęść i zniszczenia. Lud prosty uosobistnił sobie niejako walkę straszliwą z żywiołami i pewne kataklizmy w naturze, łącząc je z mytem legendowym, ale osoby wykształcone nie powinny by przecież wierzyć w takie gusła i zabobony, wylęgłe w ciemnych umysłach wieśniaków.

Otworzyła drzwi i wyszła na balkon. Panna Hofer potrząsła głową, temi słowy głęboko dotknięta.

— Pani prezydentowa — zauważyła z minką nader złośliwą — zaraziła się widocznie tegoczesną wolnomyślnością, sceptyzmem! Zapewno w stolicy tak wszyscy zmądrzeli, iż w nic już nie wierzą, i wszystko w czambuł wyśmiewają, co tylko nie da się objąć zimnym, trzeźwym rozumem, w co, że tak się wyrażę, rąk nie włożą, jak Tomasz Apostoł w rany Chrystusowe! I ciebie tego niedowiarstwa musiano nauczyć w instytucie. Nieprawdaż Lily?

— Ach! ja święcie wierzę i tak chętnie słucham historji o duchach! — Lily zapewniła. — Kochana! najdroższa panno Emmo! opowiedz mi, opowiedz! Co ma wspólnego Dziewica z lodu z baronem Werdenfelsem? Słyszę zewsząd o tem głuche wieści, wskazówki niewyraźne i ginę z ciekawości, żeby się wreszcie dowiedzieć bliższych szczegółów. Proszę! zaklinam! opowiadaj!

Panna Emma nie dała się zbyt długo prosić. Opowiadanie należało do jednej z głównych jej słabości. Zrazu głos do szeptu prawie zniżyła, zerkając z pod oka na odchylone drzwi od balkonu. Wkrótce jednak w zapale oratorskim, zapomniała o wszelkiej przezorności i mówiła nawet głosem cokolwiek podniesionym.

— Bardzo dawno temu...

— Ach! jakie to cudowne! jakie interesujące! — przerwała jej Lily, klaszcząc w dłonie. — Tak zwykle

zaczynają się historje najpiękniejsze! A więc dawno temu? kilkaset lat może?...

— No! nie tak znowu dawno — panna Emma głową potrząsła, cokolwiek zbita z tropu. — Na przyszłą wiosnę będzie o ile mi się zdaje lat czternaście, gdy cała wieś Werdenfels zgorzała, a równocześnie z pożarem zniknął młody baron.

Lily przysunęła się z krzesłem bliziuteńko do opowiadającej, połykając formalnie słowa z jej ust wychodzące. Jej istotnie nie można było zarzucić nowoczesnego sceptyzmu, jak się była wyraziła o pani Hertenstein panna Hofer. Miała jeszcze całą wiarę naiwną dziecka, co do widm, duchów i tym podobnych zjawisk nadprzyrodzonych.

— Otóż — mówiła dalej panna Emma — w całym zamku, parku rozległym, nawet i lesie pobliskim, szukano barona Rajmunda nadaremnie. Ktoś wreszcie bąknął, iż widziano go jak jechał w góry, w stronę Felseneck. Gdy minął dzień i noc cała, a on nie wracał, wszyscy zaczęli przeczuwać jakieś wielkie nieszczęście. Stary baron nie był zbyt czułym ojcem, miał się nawet z synem bardzo ostro obchodzić, tym razem atoli od zmysłów prawie odchodził, najgorsze przewidując. Rozesłał liczną służbę na wsze strony, a gdy wszyscy z niczem popowracali, wybrał się mój ojciec z leśną strażą, aby koniecznie barona odszukać. Wpadli wreszcie na ślad prawdziwy i wkrótce napotkali wierzchowca bez jeźdźca, na łączce u stóp skały, nazywanej Dziewicą z lodu, ginącego prawie z głodu i zmęczenia. Baron Rajmund, jak się później okazało, piął się wyżej, aż na sam szczyt skały, gdzie zapewne musiał się zbłąkać wśród nocnych ciemności. Dość na tem, iż go znaleziono w jednej rozpadlinie lodowca omdlałego, stężałego od zimna i na pozór martwego. Zrazu zdawało się istotnie, że już dusza opuściła zimne ciało na wieki, po wielkich trudach atoli zdołano rozgrzać członki zastygłe, baron odzyskał przytomność na chwilę, aby ją znowu utracić w majaczeniach gorączkowych. Przebył tyfus niebezpieczny, który trwał przeszło miesiąc i od tego czasu został zaklętym!

— Ah! zaklętym? — szepnęła Lily, której to słowo tem więcej imponowało, im mniej rozumiała jego znaczenie. — Musi to być coś bardzo okropnego?!

— Okropność, w rzeczy samej! — potwierdziła panna Emma. — Dziewica z lodu barona pocałowała, a kogo ona do zimnego łona przyciśnie, temu już nigdy krew się nie rozgrzeje, serce za życia jeszcze w kamień się obróci i zastygnie na wszelkie ludzkie uczucia. Od owej nieszczęsnej chwili baron Rajmund zmienił się nie do poznania! Przed tem nieraz go widywałam, nawet z nim mówiłam, gdy odwidzał ojca mojego. Był zawsze nad wiek poważny i zamyślony, potrafił jednak zaśmiać się i pożartować wesoło. Nie był zupełnie tak dumnym i nieprzystępnym, jak stary baron Werdenfels. Po słabości wszystko było inaczej! Nie spojrzał więcej w oczy nikomu, do nikogo nigdy nie przemówił, a wyglądał jak istny upior, który wstał z grobu, i snuje się na postrach żywych. Bo też był już jedną nogą w grobie. Dziewica z lodu nie wypuszcza z rąk ofiary, która dostała się raz w jej ramiona.

Lily wytrzeszczyła oczęta, maleńkie usta purpurowe na pół odchyliwszy. Tonęła w zachwycie! Historja straszliwa była całkiem w jej guście.

— Dla tego to zamurował się w niedostępnem Felseneck! — odezwała się tonem głębokiego przeświadczenia. — Tam ma Dziewicę z lodu wiecznie przed oczyma. Wieśniacy utrzymują, iż on tam płata rozmaite sztuczki djabelskie, złoto robi i rzuca na ludzi uroki. A czy to prawda, że sam miał podpalić Werdenfels?

— Na miły Bóg! milcz Lily! — zawołała panna Emma przerażona. — O takich rzeczach nie mówi się głośno!

— Ale po cichu jeden drugiemu na ucho opowiada. Mnie udzielił tych wiadomości nasz ogrodnik, stary Ignacy. Klnie duszę i ciało, że to prawda najświętsza! Czy i pani wiesz co o tem?

— Nie! W ogóle, jest to dotąd niezbadaną tajemnicą. Prawda, że wtedy baron Rajmund uciekł aż na sam szczyt Dziewicy z lodu, a gdy kiedy później zawitał do Werdenfels, to ani krokiem z zamku nie wychodził. Ojciec jego tak samo puszczał mimo uszu, głuche wieści o tem krążące, jak nic sobie nie robił z nienawiści wieśniaków. Przejeżdżał się dalej wzdłuż wsi konno i w powozie, patrząc na każdego z góry, z tą samą co dawniej dumą i arogancją. Syn atoli nogą więcej we wsi nie postał. Po śmierci ojca próbował wprawdzie wejść w lepsze z ludem stosunki, robił co tylko mógł, chciał wieśniaków obsypać dowodami swojej wspaniałomyślności i dbałości o ich dobro, okazali jednak wstręt nieprzezwyciężony do wszelkich darów z rąk barona, odrzucili z pogardą niemal jego dobrodziejstwa i teraz od lat wielu słych o nim zaginął, tak się szczelnie — jak ty słusznie mówisz — zamurował w samotnem, odludnem Felseneck!

— No, zdaje się przecie, iż zamek całkiem pustką nie stoi, że tam są jacyś ludzie — wtrąciła Lily, która dotąd zdawała się o tem wątpić najzupełniej. — Kim też mógł być, ten młody, ładny strzelec, któregośmy po drodze spotkały?

— Paweł Werdenfels prawdopodobnie, bratanek ordynata. Był spodziewany temi dniami w Felseneck.

— Chryste Panie! co też to musi być za życie z tym stryjkiem straszliwym! Biedny młodzieniec! Żeby mu się chcć co złego nie stało! Taki miły i grzeczny! Ot, jak mi się nisko ukłonił! Całkiem jak jakiej damie! Ten nieznośny pan Freising, zaledwie raczy mi głową kiwnąć, jakbym ja była jeszcze dzieckiem! a co kuzyn Jerzy, to najchętniej rózgą by mi pogroził!... Ale co też Anulka robi tak długo na balkonie?! Dotąd nie wróciła.

To powiedziawszy, zerwała się Lily z krzesła, i jednym susem wbiegła również na balkon.

Anna stała nieruchoma, mimo, iż dziś powietrze było nader zimne i nieprzyjemne. Patrzyła okiem błędnem na góry, skąd pędził wicher mroźny i gwałtowny, ręką prawą schwyciwszy bezmyślnie gałąź róży, pnącej się po żelaznej balustradzie, a obecnie odartej nie tylko z kwiatów, ale nawet i z liści.

— Ah! — Lily krzyknęła, próbując nadaremnie oprzeć się prądowi. — Wicher tutaj formalnie z nóg wali! Nie jest-że ci za zimno Anulko? Czemuś się szalem nie okryła?

Anna odwróciła się ku niej, i jakby na potwierdzenie słów wyrzeczonych, wstrząsła się febrycznie.

— Prawda... jest bardzo zimno!... Chodźmy do salonu!...

Cofnęła rękę, która kurczowo gałąź ściskała, a na białej dłoni pokazały się duże krwi krople.

— O mój Boże! — Lily zawołała. — Skaleczyłaś się kolcami! Krew ciecze! Czy cię to bardzo boli?!

Młoda kobieta spojrzała na rękę skrwawioną z roztargnieniem, i szepnęła wahająco:

— Nie wiem istotnie... nic nie uczułam...

— Nie czułaś, jak ci ciernie dłoń kaleczyły? — wypatrzyła się na siostrę Lily w najwyższem podziwieniu, nie pojmując, żeby można skaleczyć się tak okropnie, i nawet z bolu nie krzyknąć!

— Nie!... Co się zaś tyczy opowiadania panny Hofer, jest to mięszanina najgłupszych zabobonów, plotek i bajek dziecinnych, w które pod żadnym warunkiem wierzyć nie powinnaś. Jeżeli nie przestanie karmić twój umysł podobnemi bredniami, nie będę mogła zostawiać cię w jej towarzystwie, powierzać jej opiece. Jeszcze jedno Lily! Żebyś mi się nie ważyła więcej przekraczać granic Felseneck! Czyś zrozumiała? nigdy więcej!

— Dla czego? — spytała Lily zdziwiona i zaniepokojona tonem niezwykle surowym.

— Bo ja tego nie chcę! Spodziewam się, iż to powód dostateczny, abyś mi była bezwarunkowo posłuszną!

Przesunęła się koło młodszej siostry i weszła do salonu.

Lily słusznie przedtem zauważyła. I Anna umiała być srogą i nieubłaganą, nawet w obec swojej najukochańszej faworytki. Jerzego wychowanie zrodziło owoce. W tej chwili mógłby być dumnym ze swojej elewki. I on by w tym wypadku nie mógł postąpić z większą niż Anna energją.

VI.

Paweł bawił już od tygodnia w Felseneck, i ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, dotąd wcale nudów nie uczuł. Wolności jego osobistej nikt nie myślał krępować, powozy i konie były zawsze na jego rozkazy, a stryj nigdy nie zapytał, gdzie jedzie i do kogo? Był zresztą dobrym strzelcem, lubił namiętnie polować, a góry w rzeczy samej obfitowały w zwierzynę i ptactwo różnorodne.

Zabijał więc czas jak mógł, żyjąc samotny po większej części, bo ordynata prawie nie widywał. Nie wchodził nigdy do stryja, tylko gdy był wezwany, a to zdarzało się nader rzadko, i na bardzo krótko. Zresztą baron Rajmund w niczem trybu nie zmieniał; gdy na chwilę Pawła do siebie zaprosił, przyjmował tegoż zawsze z równym, lodowatym spokojem i oziębłością. Zostawiał młodszemu kuzynowi wszelką swobodę, pozwalał mu używać wszelkich przyjemności i wygódek, których tylko zamek mógł dostarczyć, nie okazał jednak niczem, iż go los Pawła obchodzi, ani ma włos bliżej nie posunąwszy się ku niemu.

Mimo tego odosobnienia, Paweł nie nudził się bynajmniej w Felseneck, głównem zaś jego zajęciem było, skoro w zamku bawił, stać w oknie pokoju sypialnego, i przez szkła powiększające wpatrywać się uporczywie całemi godzinami w punkt jeden!... co mówiąc nawiasem, starego Arnolda do rozpaczy doprowadzało! Mimo zabiegów najusilniejszych, ani z panicza nic nie mógł wydobyć, ani się też sam nie domyślał, na co Paweł patrzy tak zawzięcie, i czego szuka w dolinie. Wprawdzie postępowanie panicza było obecnie tak wzorowem, iż mogło zadowolnić i najostrzejszego mentora, a jednak w umyśle Arnolda majaczyło dotąd niewyraźnemi konturami owo podejrzenie, tyczące się przedmiotu: „niżej lat pięćdziesięciu“. Gdy Paweł milczał uparcie, co u niego było zjawiskiem tak nadzwyczajnem, wzrastał niepokój Arnolda, i dręczyło go fatalne przeczucie: „Czy tylko tym razem — jak się wyrażał dobitnie — panicz jego na prawdę nie zaszłapał!...“

W sercu Pawła rozwiało się od dawna owo tajemne niezadowolenie, ów rozstrój, wywołany szczegółami, udzielonemi przez adwokata Freisinga. „Kto szuka, ten znajdzie“, i on też wkrótce wytłómaczył i uniewinnił bóstwo swoje od wszelkiego zarzutu, iż mogło popełnić małżeństwo, li rozumem podyktowane. Przyczyniła się zapewne wielce do tego postanowienia stara kanoniczka, która rada była spełnić brata życzenie; zmusił ją może do tego związku ksiądz Wilmut, zmusiły wreszcie inne, nieznane mu okoliczności... cóż zatem naturalniejszego, iż biedne, młode dziewczątko, uległo radom i namowom starszych, i słuchając głosu rozsądku, przyjęło rękę starca, która uwalniała przynajmniej sierotę z tak przykrej zależności, zapewniając świetne stanowisko w dodatku.

Paweł ubolewał teraz nad losem sieroty nieszczęśliwej, którą w pierwszej chwili był niemal potępił, i jeszcze goręciej nią się zajął, właśnie z powodu tego małżeństwa. Kiedyż zresztą miłość pierwsza, szczera i namiętna, dała się powstrzymać w zapale jakiemikolwiek względami? A było to istotnie pierwsze uczucie prawdziwe w sercu młodzieńca. Co dotychczas tym mianem tytułował, były to miłostki, do których sam wielkiej wagi nie przywiązywał, przelotne i krótkie niby życie motyla, kaprysy zmysły na chwilę łudzące, w czem atoli serce żadnej roli nie grało. Po raz

pierwszy zatem uczuł coś więcej, niż zmysłów połechtanie, uczuł się do głębi serca przeniknionym miłością płomienną, mimo, iż tylko trzy razy udało mu się mówić z panią Hertenstein, mimo, iż jego zapały tak zimno przyjmowała. Im więcej unikała z nim spotkania, tem on goręciej pragnął zbliżyć się do niej.

Zrozumiał od razu, iż tu nie może być mowy o czem innem, jak o oddaniu pięknej wdowie serca, wraz z ręką i nazwiskiem baronów Werdenfelsów. Tego też tylko pragnął, aby raczyła przyjąć jego rękę i nazwisko. Zależał wprawdzie od łaski stryja, ufał jednak, iż będzie na tyle wspaniałomyślnym, i wydzieli mu wieś jedną bodaj z dóbr olbrzymich, które i tak po nim prawdopodobnie odziedziczy, żeby w danym razie miał gdzie żonę wprowadzić, i mógł w ten sposób przyszłość swoją ustalić. Wszystko więc będzie zależało od samej pani Hertenstein, w jaki sposób przyjmie jego oświadczyny, czy w ogóle zachęci go łaskawie do częstszego bywania, czy też zmrozi go tak samo, jak owej nocy na statku parowym. Rachował tymczasem z niecierpliwością dni i godziny, kiedy według wszelkich prawideł etykiety, będzie mu wolno po powrocie pani Hertenstein, złożyć jej wizytę w Rosenberg, i odnowić znajomość przelotną, którą nawiązał był w podróży.

Tydzień wreszcie upłynął, i Paweł w dzień nadspodziewanie ciepły i pogodny, wybrał się z wizytą do Rosenbergu. W najbliższej oberży wyfrakował się, wyświeżył, i tak z tyumfem przed ganek zajechał. — Los przekorny figla spłatał stęsknionemu młodzieńcowi, gdyż na wstępie dowiedział się od starego ogrodnika, Ignacego: „Iż pani niema w domu!“

Musiał Paweł skrzywić się niemiłosiernie na tę wieść hiobową, gdyż sługa myśląc, iż to jakiś bardzo ważny interes, dodał na pociechę:

— Pani wróci dziś niezawodnie nad wieczorem. Pojechała tylko na kilka godzin do swojego krewnego, proboszcza w Werdenfels.

Paweł podziękował za udzieloną mu wiadomość, i kazał natychmiast do Werdenfels zawrócić. Wprawdzie sam sobie perswadował, iż nie wypada może gonić za panią Hertenstein, tak mało mu znaną, aż do domu jej kuzyna, ale może przecież udać, że spotyka ją u proboszcza całkiem niespodziewanie. Aby to wyglądało naturalnie, potrzebuje tylko zabawić chwilkę w zamku Werdenfels. Dla czegoż nie miałby zwidzieć swojego gniazda rodzinnego? Dla czegoż nie miałby wstąpić po drodze do proboszcza? Przecież panom na Werdenfelsie, przysługiwało od wieków prawo patronatu, oni dawali księżom prezentę, oni mieli i wszelkie inne przywileje. Mimo tego wahał się Paweł, lękając się wzroku przenikliwego swojej pięknej towarzyszki podróży. A nuż spojrzy na niego ostro i z wymówką, jak się patrzyć zwykło na nieznośnego natręta?!...

W Werdenfels przyjął go nader uprzejmie, skoro wymienił swoje nazwisko, stary sługa, mający sobie wszystko oddane, i pospieszył oprowadzić młodego barona tak po zamku, jak i po ogrodzie i parku rozległym. Porządek i tu panował wzorowy, ale znowu pierś Pawła ścisnęła się mimowolnie ciszą głuchą, która w okół panowała, i tym przepychem bezużytecznym, na który nikt z żywych nie patrzył, nikt nie używał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

L'OMBRA.

NOWELLA.

(*Ciąg dalszy*).

VIII.

Mimo, iż dnie całe z sobą spędzali, czasu nie mało spłynęło, zanim Willjam zasmakował prawdziwie w rozmowie z lady Stève. Zwalczyły wreszcie jego uprzedzenie, Erminji dobroć, łagodność i wdzięk naturalny w każdem słowie. Willjam miał lat niespełna trzydzieści, nie dziw więc, że choć dotąd marzył o cudnych warkoczach kruczych *L'Ombry*, o jej płci śniadej i puszystej jak brzoskwinia dojrzała, przypominającej blask słońca włoskiego, nieraz bezwiednie zapatrzył się z zachwytem w pukle złotych włosów, w śliczną, liljową twarzyczkę, tak słodko uśmiechającą się do niego, że nieraz gonił wzrokiem białe ramiona i tę kibić wiotką a toczystą. Erminja czuła, że z dnia na dzień staje się mu mniej obojętną i to przekonanie radością jej duszę przejmowało. Willjam nie spuszczał już teraz z niej oczu, gdy szła przez salon. Ten chód lekki, płynący, dystynkcja i elegancja w każdym ruchu, przypominały mu cokolwiek postać uroczą niezrównanej *L'Ombry*. Zaczynał nawet uznawać w duchu, że chociaż tak odmienne urodą, mogłyby rywalizować z sobą te dwie kobiety, co do gracji niewymuszonej i czaru, który w koło siebie rozsiewają, gdyby ta druga jasnowłosa, miała w sobie ową iskrę genjuszu, ową siłę przyciągającą i na wieki przykuwającą, gdyby umiała w języku Bogów wyspiewać uczucia namiętne serca swojego.

Dnia pewnego, ujrzawszy się samotną w salonie, Erminja zbliżyła się do fortepianu. Zrazu siedziała zadumana, z głową wspartą na lewej ręce i porównywała z boleścią niewymowną te słabe dowody przychylności, które mozolnie wywalczać musi lady Stève, z owym zapałem, z owemi spojrzeniami palącemi, które *L'Ombra* odbierała, gdy w Willjama zapatrzona, dla niego spiewała jedynie, jakby w sali olbrzymiej prócz nich dwojga nikogo więcej nie było. Wtedy ich dusze tak się rozumiały! Dla czegoż teraz złączyć się nie mogą? Czyż tylko na skrzydłach pieśni można znaleść drogę do serca jego? Aby rozprószyć myśli bolesne, które pierś jej tłoczyły, podniosła głowę i machinalnie grać zaczęła piękną arję Irmy, wlewając w martwe klawisze i oży-

wiając niejako ciepłem serca tkliwego i przejętego czcią najwyższą dla muzyki.

Willjam wśliznął się na palcach i niepostrzeżenie do salonu, przymknął oczy, słuchając tonów czarownych, a w duszy majaczył mu obraz *L'Ombry*, arję tę spiewającej. Westchnienie zwróciło uwagę Erminji, gdy grać skończyła.

— Cudowna muzyka! — wykrzyknął książe, podając jej dłoń na powitanie.

— Ale trzeba by ją wyspiewać, nieprawdaż? — odezwała się smutno Erminja. — Cóż pomoże bić w te martwe kawałki kości? Czyż one mają duszę, aby oddać jak należy, tyle miłości namiętnej, którą mistrz wielki tchnął w tony czarowne?!

Byłaby chętnie w tej chwili oddała pół życia, aby tylko mógł Willjam jej głos usłyszeć! Ale nuż by wszystko straciła, prawdę wyznając? Jak pod tuszem zimnej wody ostygła nagle i na nowo grać zaczęła.

— Mniej więcej, tak by to być powinno? — spytała patrząc mu w oczy.

— Od dawna nic mi nie sprawiło tak wielkiej przyjemności. Grasz cudownie droga kuzyneczko!

Pierwszy raz przemawiał do niej tak czule i serdecznie.

— Zupełnie styl i sposób *L'Ombry*! -- dodał po chwili.

— Jak ta kobieta zachwyciła cię kuzynku!

— Żałuję tych, którzy mogliby pozostać zimnymi, słuchając tej czarodziejki. Ja zawdzięczam jej chwile najroskoszniejsze z życia całego!

Mówił o niej samej, a jednak te pochwały namiętne, z których mogła być dumną, bolem serce jej ścisnęły.

Rozmawiali dalej o muzyce i tu zeszły się ich dusze, ich zapatrywania, tworząc jakby jeden akord harmonijny. Lady Stève była uszczęśliwiona zajęciem się widocznem tą rozmową, i uwagą, z jaką Willjam słów jej słuchał. Spróbowała zbadać serce jego i znowu coś o *L'Ombrze* nadmieniła. Natychmiast oczy Willjama zapłonęły uczuciem namiętnem i zawołał z zapałem: „Że *L'Ombra* jest najcudowniejszem wcieleniem genjuszu muzykalnego!“

— Doprawdy kuzynku — uśmiechnęła się Minia smutno — można by cię posądzić, żeś się pod włoskiem niebem urodził, tak się potrafisz gorączkowo w entuzjazmie dla sztuki egzaltować! Popełniam okrucieństwo, ale muszę ci powiedzieć, że *L'Ombra* więcej nie myśli publicznie występować. Wiem to od osoby wiarygodnej.

— Nie mogę temu uwierzyć. Jakto? Czyżby głos nagle straciła?

— Nie.... tylko raz na zawsze sceny się wyrzekła.. może będzie jeszcze kiedy spiewała... ale tylko w salonach.

— Pojechałbym na koniec świata, aby ją usłyszeć! — książe z ogniem zaręczył. — Ależ to grzech nie do przebaczenia, stawiać „światło pod korzec!“ Genjusz podobny należy do świata całego.

Zaledwie zdołała się powstrzymać, żeby w głos nie krzyknąć: „— *L'Ombra* to ja!“ — w czas jednak przypomniała sobie słowa hrabiego de Bocé i przesądy arystokratyczne towarzystwa angielskiego. Lęk ją ogarnął... Gdyby mu się dała poznać, możeby we wzroku Willjama wyczytała więcej zdziwienia i nagany, niż miłości?.... Zamknęła więc znowu na dnie serca fatalną tajemnicę, czuła się jednak nadto rozstrojoną, aby dłużej pozostać, uścisnąwszy zatem dłoń kuzyna, do siebie odeszła.

To udawanie było dla niej męką piekielną! Cień przeszłości nieszczęsnej, będzież całe życie jej zachmurzał? Czyż jej natura szczera, otwarta, nigdy już z tych pęt się nie uwolni? Będzież wiecznie do kłamstw przykutą? Czyż będzie bez skutku walczyła, z tem drugiem fałszywem odbiciem własnej osoby? Czyż nie potrafi wyrugować z serca i pamięci Willjama *L'Ombry* zwodniczej?

Zadając sobie w duszy te pytania, Minia uczuwała zazdrość dziwną, piekącą, do tego drugiego Ja, do tej siostry czarnowłosej, która potrafiła wycisnąć łzy z oczu Willjama, której obraz nie dopuszczał lady Stève do serca ukochanego. Jakim cudem zająć jej miejsce?

— Kochając go coraz goręcej — pocieszała się w duchu biedaczka — zatrę wreszcie obraz tamtej, podbiję po raz drugi i opanuję to serce, oczarowane zwodniczą *Fata Morgana*!.... Kto tak szczerze, tak płomiennie jak ja kocha, musi w końcu miłość wzajemną wzniecić!

Nadzieja jej nie opuszczała... Willjam stawał się dla niej coraz bardziej uprzejmy. Ośmielona, uradowana, rozmawiała z nim z całą swobodą, nie kryjąc się z rozumem i wykształceniem męskiem prawie, nie tając zapału dla sztuki i artystów. Willjam szukał teraz jej towarzystwa, nie był wprawdzie nadskakującym, zakochanym adonisem, ale czułym, serdecznym przyjacielem. Przyznawał się Erminji, iż jej włoska werwa i entuzjazm zachwycają go i pozwalają odetchnąć swobodniej, wśród zimnej i sztywnej etykiety angielskich salonów.

— Należę raczej do twojej ojczyzny kuzynko — mawiał z częsta. — Kocham się w słońca palących promieniach, ubóstwiam sztuki piękne i poezję, schylam czoło w niemym zachwycie przed pięknem, w którem myśl wyższa przebija. Podziwiam też mistrzów włoskich, owe święte, owe madonny, w Bogu zatopione, jaśniejące ekstazą nadziemską... I ty kuzynko, musisz być podobną do jednej z tych pięknych męczenniczek jasnowłosych, w które nieraz całemi godzinami się wpatrywałem, rysy twoje, oczy szczególniej, tak mi żywo kogoś innego przypominają, a jednak silę się nadaremnie, odszukać w pamięci gdzie i kiedy twój obraz widziałem.

Hr. de Bocé, przyłączał się nieraz do nich. Gdy

rozmowa stawała się nadto poważną, wzruszał miłosiernie ramionami.

— Za moich czasów — mówił z przekąsem — młodzież była może mniej uczoną, ale weselszą i przyjemniejszą. Kwestje filozoficzne, zostawialiśmy do roztrząsania uczonym pedantom, politykę starym dworakom, których krom ambicji, wszystkie już inne grzeszki opuściły, historją trudnili się wyłącznie erudyci, skrzętnie w dziejach zamierzchłych szperający, my zaś ćwiczyliśmy się w sztuce i nauce o wiele trudniejszej: jak się mianowicie płci pięknej przypodobać! Zamiast rozprawiać nad wiekiem przypuszczalnym piramid egipskich, badać charaktery różnych narodowości, lub krytykować działalność rządów absolutno-konstytucyjno-republikańskich, mówiliśmy przeważnie o Niej i o Nas, to jest: o wiecznie świeżej, wiecznie młodej, wiecznie czarującej.... miłości! Uśmiechasz się złośliwie mój młody przyjacielu, a jednak miłość, to jedno co można brać na serjo tu na ziemi, to dobro najwyższe, po którem płaczemy, gdy nas opuści. Mało nas obchodziło życie Cezara i walki jego, ale za to każdy z nas umiał na pamięć metamorfozy Jowisza, któremi usidlał piękne swoje kochanki i miłość ich zdobywał. Nie podbił jednak serca żadnej w todze mędrca, pokazuje się z tego, że ciężka uczoność najmniej u płci pięknej popłaca.

Młodzi śmiechem wybuchali na te hrabiego jeremiady, on jednak byłby wolał mniej wesołości, a więcej niechęci i niecierpliwienia się z ich strony, że intruz niepotrzebny przerywa dwojgu słodkie sam na sam. Życzył sobie sercem całem, jak i księżna, połączenia młodej pary węzłami nierozerwalnemi, to też nie posiadał się z radości, widząc coraz ściślejsze stosunki między niemi, spostrzegłszy nawet, iż drażnią cokolwiek Willjama pochwały pełne zapału i hołdy staruszka szarmanckiego, których nie szczędził Erminji. Raz gdy go młody książe wyśmiewał z tego powodu, z pewną goryczą, na zazdrość niemal zakrawającą, odrzucił wesoło:

— Ha! mój drogi, nie taiłem się przed tobą, że Włoszka prześliczna oczarowała mnię formalnie na starość! Żałuję patrząc na nią serdecznie, że nie mogę wrócić się do moich lat trzydziestu, że nie jestem smukłym i wcale nie brzydkim szatynem, jakim wówczas byłem w mundurku Szwoleżera, kiedy to podkręcałem zalotnie ciemny wąsik, zerkając na prawo i lewo, z miną zwycięzcy serc niewieścich.... skoro atoli zestarzawszy się, postradałem wszystkie moje do konkiet robienia prawa i tytuły, wolno mi przynajmniej bez niebezpieczeństwa dla drugiej strony, wielbić i sławić piękność rzeczywistą.

— Znajdujesz ją więc hrabio istotnie tak piękną?

W tej samej chwili ukazała się na balkonie ta, o której rozmawiali, w białej sukni kaszmirowej, której miękkie fałdy, cudnie kształty jej królewskie odznaczały, w białych kameliach i fiołkach, artystycznie pomiędzy złote włosów zwoje wplecionych i całą krasą młodości na twarzyczce wdzięcznie uśmiechniętej. Hrabia szepnął swojemu towarzyszowi:

— Popatrz tylko na nią! a jeżeli nie powiesz, że jest wsród pięknych najpiękniejszą, to dalipan! moje stare oczy, lepsze od twoich młodych!

Spojrzał Willjam, ale co go najbardziej uderzyło, to wybór kwiatów. Takie zawsze bukiety rzucał pod nogi czarnowłosej spiewaczce tajemniczej. I znowu postać lady Stève dziwnie mu *L'Ombrę* przypomniała... ten sam chód, to samo majestatyczne, a jednak pełne uroku kobiecego, głowy trzymanie.

— Wszak urodziły się pod jednem niebem — pomyślał w duchu. — Tylko Bóg tamtę hojniej obdarzył, dając jej głos niezrównany!

Nie mógł oczu oderwać od zjawiska czarownego na balkonie. Jakim cudem lady Stève wywołuje w nim od czasu do czasu *L'Ombry* przypomnienie? Wróciwszy myślą do sławnej spiewaczki, zadał sobie i drugie pytanie: Dla czego mianowicie, gdy przed nią *L'Ombrę* wychwala, Erminja tak jest za każdym razem pomięszaną? Z początku przypisywał to dumie i lekceważeniu artystów w ogóle, dziś atoli był przekonany, że istnieje jakiś inny powód, dla którego Erminja czuje się zaniepokojoną, skoro zaczną mówić o sławnej artystce. Po dłuższem zastanowieniu przypomniał sobie matki przerażenie tą namiętnością, która groziła mezaljansem nie do przebaczenia, ostatniemu potomkowi rodu starożytnego Whitefield'ów. Musiała zapewne polecić ukochanej siostrzeniczce, żeby niczem tej miłości nieszczęsnej nie podniecała. Posądzał od dawna lady Stève, iż o wiele więcej wie o *L'Ombrze*, niż to chce okazać, postanowił zatem uspić jej przezorność udawaniem zupełnej obojętności, dla czarnowłosej artystki. Skorzystał z pierwszej lepszej sposobności, aby odegrać z powodzeniem nową rolę, podał ramię pięknej kuzynce, a usiadłszy z nią na ławeczce ustronnej przy końcu parku, dokąd zaledwie echo głuche dochodziło towarzystwa wesołego, które rozpierzchło się było po pięknym i pełnym cieniu ogrodzie, zacząwszy od pogody i tym podobnych przedmiotów pospolitych, przeszedł wreszcie powoli do muzyki, i do opery najnowszej maestra V. Zauważył natychmiast pewną zmianę w lady Stève, jakby każde słowo cedziła bojaźliwie. Mówił dalej bez wahania, i nawet z pewnem lekceważeniem dla *L'Ombry*, co spowodowało lady Stéve, do rzucenia na niego okiem zdziwionem.

— Musi być zapewne córką jakiego muzykusa i wędrownej aktorki lub nawet cyganki — mówił od niechcenia, uśmiechnięty sarkastycznie. — Od lat najmłodszych do sceny przeznaczona, wychowawszy się pomiędzy lichym fortepianikiem a battutą kapelmistrza, przyzwyczajona i otoczona od dzieciństwa fałszywym szychem teatralnym i blaskiem kinkiet zakopconych, nie dziw, że się tak czuje na scenie swobodną. Wszak kulisy, to jej prawdziwa ojczyzna!

Erminja spłonęła rumieńcem, książę zaś mówił dalej:

— Trzeba jednak przyznać, że metodę ma niezrów-

naną! Czy nie wiesz droga kuzyneczko, kto był jej mistrzem?...

Gdy zapytana upornie milczała, Willjam w głos się roześmiał:

— Ręczę, że ci z góry zakazano rozmawiać ze mną o tej artystce? Matka ułożyła sobie, iż jestem w tej niebezpiecznej syrenie śmiertelnie zakochany!.. To jest powodem twojego milczenia... czy zgadłem?.... Grubo się omyliła moja droga mateczka. *L'Ombra* obudziła we mnie prostą ciekawość... Podziw i hołdy, które jej niosłem, tyczyły się sławnej artystki, ale nie były dla kobiety przeznaczone. Możesz więc kuzynko mówić o niej ze mną bez bojaźni!

Nagła zmiana frontu była może trochę nienaturalną, książę jednak wypowiedział całą tyradę z taką wielkopańską miną i nonszalancją, iż w szczerość słów jego uwierzyła. Kiedyż zresztą kobieta szlachetna, nie wierzy i podejrzywa ukochanego?! Zdziwiona zrazu, prędko się uspokoiła, zostawała jednak jeszcze jedna kwestja, którą chciała na czysto omówić.

— Co myślisz w ogóle kuzynku — spytała bez ogródki — o kobietach na scenie występujących?

To pytanie utwierdziło jeszcze Willjama w mniemaniu, iż Erminja postępuje z nim podług instrukcji, którą od księżny Whitefield odebrała.

— Co myślę o damach zakulisowych? Ależ to, co myśli o nich świat cały! Oklaskujemy ich talent, podziwiamy, gdy są piękne i młode.. Królują póki choroba przedwcześnie lub ząb czasu nieubłagany nie zedrze im z czoła djademu, nie zniszczy talentu... wtedy inna strąca je ze stopni tronu, i gwiazda w głąb nocy zapada z firmamentu sztucznego, na którym dotąd jaśniała, a świat o niej szczęśliwie zapomina, i przechodzi nad nią do porządku dziennego. Co do mnie, mam przynajmniej uczucie rzewnej litości dla tych biednych istot, które z ciałem i duszą niemal, oddają się na pastwę Molochowi potwornemu, nazywającemu się publicznością. Wymówką ich jest stanowisko socjalne. Po większej części pochodzą z najniższych warstw społeczeństwa, walczą z głodem i nędzą wszelaką, rzecz więc całkiem naturalna, że więcej dbają o pieniądz, niż o cześć swoją i dobrą sławę, iż dla marnego grosza wystawiają siebie na widok publiczny, narażają się na spojrzenia pogardliwe i dumne lekceważenie dam wielkoświatowych, na komplimenta impertynenckie i zuchwałe narzucanie się ze strony mężczyzn.

— Sąd twój nadto surowy milordzie! — zawołała Erminja drżąca z oburzenia i blada śmiertelnie. — Przesądy wielko-pańskie dały ci prędko zapomnieć o szlachetnym zapale melomana. Pozwól sobie przypomnieć, iż nikt jednem słowem nie dotknął czci i dobrej sławy *L'Ombry*, o której do niedawna wyrażałeś się z szacunkiem i najwyższym entuzjazmem. Czyż nie można przypuścić pobudek szlachetniejszych, od chciwości i chęci zuchwałej, ściągnienia na siebie powszechnej uwagi? Czyż dziewica czysta i zacna nie mogłaby zdecydować się na występ publiczny, li z miłości dla sztuki i z miłosierdzia dla biednych? W każdym razie tobie milordzie najmniej przystoi być w tej kwestji tak nieubłaganym!

— Masz serce wielkie milady! — Willjam porwał ją za obie ręce ruchem namiętnym.

Twarz młodej kobiety płonęła rumieńcem, oczy patrzące śmiało na przeciwnika, ciskały gniewu błyskawice. Po raz pierwszy wydała mu się cudownie piękną.

— Tak kuzyneczko — dodał czule — jesteś w rzeczy samej istotą wyższą, a *L'Ombra* zasługuje z pewnością na tak szlachetną orędowniczkę!

Ściskał jej rączki w obu dłoniach, a wzrok jego w tej chwili, przypomniał niemal Erminji spojrzenia płomieniste wiernego widza w Medjolanie i w Wiedniu. Przy kim jednak był myślą w tej chwili? Chciała się o tem natychmiast przekonać... Odpowiedź Willjama rozstrzygnie decydująco ich przyszłe losy. Ton pogardliwy i lekceważący, w jakim mówił przed chwilą o artystkach dramatycznych, dotknął ją do żywego, i nie mogła pozostać w tak dręczącej niepewności. Spytała więc odważnie:

— Bądź szczerym kuzynku. Ty, meloman zapamiętały, uwielbiający muzykę, a przytem jak ptak wolny, bogaty, niezależny, gdybyś na prawdę... był w *L'Ombrze* zakochany, czybyś nie wahał się nazwać ją księżną Whitefield?...

Pytanie rzucone mu w oczy tak nagle i niespodziewanie, wypowiedziane głosem drżącym, pobudziło Willjama do ostrożności. Dla czego lady Stève tak się w niego wpatruje niespokojnie? Lęka się z pewnością czy nie zdradziła zaufania, położonego w niej przez księżnę matkę! To przekonanie podyktowało Willjamowi odpowiedź nader dyplomatyczną.

— Ho! ho! Gdzieżeśmy to zagalopowali się kuzyneczko?!... Ślub, kwestja to nader ważna i łatwiej zgubić serce, niż rękę wraz z nazwiskiem zaofiarować. Sypać oklaski, podziwiać, to rozumiem, ale wiązać się na całe życie, powierzać swój honor piękności spiewającej na deskach teatralnych z pierwszym lepszym tenorem!... nad tem musiałbym się długo namyślać, zanim mógłbym dać odpowiedź stanowczą.

W miarę jak mówił, Erminja bladła coraz więcej, aż Willjam to spostrzegł i troskliwie zapytał:

— Co ci jest kuzyneczko?

— Ból w piersi — wyjąkała biedaczka — ale to przejdzie. Potrzebuję tylko chwilkę odpocząć.

Skinieniem ręki pożegnała tego, który bezwiednie taką jej zadał ranę bolesną i krokiem chwiejnym do domu podążyła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Dokończenie).

XI.

P. de Villenave zbudził się tego poranku nadzwyczaj rzeski, i wszedł do sali jadalnej zamku Rochepinte, pospiewując jakąś wesołą piosnkę myśliwską.

U markiza B. śniadano zwykle punkt o dziesiątej. Od czasu pogrzebu Corinny, markiz nie polował jeszcze, ale jadł i pił za czterech, zachowując dawne zwyczaje starożytnych, którzy w ten sposób czcili umarłych, że sami z przesytu zwykle się pochorowali.

P. de Villenave usłyszawszy dzwonek wzywający na śniadanie, zeszedł do sali.

Zastał już markiza siedzącego przed bufetem, zastawionym po rossyjsku rozmaitemi przysmakami, począwszy od wędlin a skończywszy na kawiorze, i popijającego starą maderę.

— Przekąś co przed śniadaniem mój przyjacielu — rzekł markiz B. — Napij się madery; madera to wino żałoby, wierz mi.

— A wino reńskie? — zapytał Villenave, śmiejąc się.

— Wino reńskie także w żałobnych obwódkach. No pij ile możesz.

Podano śniadanie, i obaj kochankowie Corinny zasiedli do stołu.

— Mój przyjacielu — odezwał się wtedy markiz — bardzo źle spałem tej nocy.

— Może opłakiwałeś Corinnę?

— Nie, myślałem o tobie.

— Doprawdy?

— I postanowiłem dać ci dobrą radę.

— Jakąż to?

— Znam kobiety, jak wiesz, i zawsze więcej myślę o nich złego jak dobrego.

— O! o!

— Kobiety zazwyczaj są porywcze, działają prędko, bez namysłu, a pierwsza ich myśl jest zwykle dobra.

— No, a druga?

— Już mniej.

— A trzecia?

— Zła.

— Do czego zmierzasz kochany markizie?

— Obaczysz. Twoja ciotka powiedziała ci: „Zostanę twoją żoną“ nieprawdaż?

— Tak.

— I zostawiła tobie czas do wyznaczenia ślubu?

— Tak jest.

— No, a czas ten oznaczyłeś?

— Nie jeszcze.

— To źle.

— Ależ — odrzekł Villenave — nie mogę się okazać zanadto naglącym.

— Przeciwnie mój kochany, na twojem miejscu, zostawiłbym jej tylko czas do ogłoszenia zapowiedzi.

— Dlaczego ten pospiech?

— Baronowa może się odmyśleć.

— Mam przecie jej słowo.

— Ba! gdy kobiety bez namysłu dają słowo, wiesz, co robią?

— Nie.

— Jedne, to te, w których się zwykle kochamy, aktorki, kokotki, nie dotrzymują go wcale.

— A drugie?

— Drugie, kobiety wykształcone, cnotliwe, robią lepiej: wyszukają sobie zwykle spowiednika zręcznego, teologa mądrego, który im udowodni, że nie miały własnej woli, dając to słowo.

— Myślisz?

— Jestem pewny — odrzekł markiz z przekonaniem.

Lekki dreszcz przeszedł pana de Villenave od stóp do głowy.

— Wierz mi — mówił dalej markiz — jeżeli nie chcesz, ażeby twój plan, cierpliwie i pracowicie wykonany, runął pewnego pięknego poranku jak pałac z kart, to weź się do rzeczy prędko.

— Masz słuszność — odpowiedział Villenave.

Dokończył śniadanie, potem na tym samym stole, nie wstając z miejsca, napisał list następujący, śmiejąc się i czytając każdy wiersz głośno:

„Pani!“

„Od czterdziestu ośmiu godzin, jak opuściłem Planche-Mibray, czuję, że rozum opuszcza mię chwilami.

„A więc, to jest prawdą, a nie igraszką snu! Pani zgadzasz się zostać panią de Villenave?

„Chwytam się za głowę, pytając sam siebie, czy nie chciałaś mię pani wypróbować?

„To znowu chwilami zdaje mi się, że nic między nami nie zaszło i nic mi pani nie przyrzekłaś.

„Czasami znowu zdaje mi się, że serce pęknie mi w piersiach, i jeżeli, niestety! nie możesz mi się pani odwzajemnić równą miłością, przynajmniej posiadam twój szacunek.

„Marto, kocham cię miłością świętą, z zapałem, i czczę jak istotę niebiańską!

„Zostawiłaś mi czas oznaczenia naszego ślubu, czuję, że sama ta myśl przejmuje mię niewymownym strachem. Czyż odważę się?

„Im bardziej wchodzę sam w siebie, tem więcej czuję się niegodnym ciebie. Ale aniołowie mają dar wzniesienia do siebie zwykłych śmiertelników, i dlatego z ufnością mówię:

„Marto, jeżeli mamy się połączyć, niech to nastąpi jak można najprędzej.

„Nie wyznaczam dnia, błagam cię jednak, zrób to za mnie.

„Ten, który ci poświęca każdą minutę swego życia:

„Leon de Villenave.“

Gdy Villenave skończył ten list napuszysty, markiz zaczął się śmiać.

— Jesteś tęgi — rzekł.

— Doprawdy? — zaśmiał się Villenave — znajdujesz?

— No! gdybyś był napisał: „Ślub nasz za trzy tygodnie, tego i tego dnia w południe,“ nie byłoby pewnie wyraźniej! Ręczę, że w niedzielę po kazaniu spadniesz z ambony.

— Mam nadzieję — odrzekł Villenave i zapalił cygaro.

— Ale, ale — mruknął markiz — spodziewam się, że jeżeli pani de Planche-Mibray ma jakieś do mnie uprzedzenie, pani de Villenave zechce mię przyjąć.

— Jakto mój kochany?...

— Będziesz przynajmniej panem domu?

— Tak sądzę — odrzekł Villenave z uśmiechem.

Markiz zadzwonił, mówiąc do lokaja:

— Siadaj na konia i zawieź ten list do Planche-Mibray.

— Czy mam czekać na odpowiedź?

— Naturalnie.

Lokaj odszedł. Markiz spojrzał na zegarek i rzekł:

— Potrzebuje dwie godziny czasu, nim stanie w Planche-Mibray, i drugie dwie, nim powróci. Masz cztery godziny niepokoju. Co będziemy przez ten czas robić?

— Strzelać króliki w parku.

— Nie chcę — odrzekł markiz — polowanie to nie żałoba!

— A bilard?

— Bilard co innego, to żałoba.

— A więc grajmy w bilard.

I wyszli z sali jadalnej, udając się do roskosznego ogrodu zimowego, gdzie znajdował się bilard.

Nigdy p. de Villenave nie był w lepszym humorze. Czasy burz przeszły, a niebo zdawało mu się błękitne. Wygrywał ciągle, i szczęście go nie opuszczało.

— To duch Corinny przynosi mi nieszczęście — odezwał się markiz. — Zdaje jej się, że grać w bilard, to żałować ją niedostatecznie.

— Cóż robić, trzeba się zabawiać jak można — odrzekł Villenave śmiejąc się.

Markiz pomylił się o godzinę.

Lokaj wyjechawszy o dwunastej, powrócił o trzeciej i przywiózł list od baronowej.

Markiz i Villenave zamknąwszy się, rozłamali pieczątkę. Był to bilet następującej treści:

„Są rzeczy — pisała pani de Planche-Mibray — o których lepiej pomówić ustnie.

„Wsiądź pan na konia i przyjeżdżaj.

„Marta de Planche-Mibray.“

— To dobry znak — szepnął Villenave.

Markiz potrząsł głową.

— Nie zgadzam się z tobą — odrzekł.

— Co mówisz?

— Czuję w tych kilku słowach jakąś zdradę — ciągnął dalej markiz.

— Et, bredzisz!

— Obaczysz...

I w istocie markiz zmarszczył brwi, jakgdyby nagle doznał jakiegoś przeczucia.

— No, ale przecie — rzekł Villenave — cobyś zrobił na mojem miejscu?

— To co ty zrobisz, do kata! Ten bilet nie zostawia ci wyboru. Trzeba siadać na konia i jechać do Planche-Mibray.

— Gdybyś pojechał ze mną? — rzekł p. de Villenave, któremu niepokój markiza udzielił się.

— O nie, dziękuję ci mój kochany.

— Dlaczego?

— Bo jeżeli jest tam co do naprawienia, ja z pewnością jeszcze gorzej popsuję. Wiesz, że nie mają mię tam za świętoszka.

— Masz słuszność, pojadę sam.

P. de Villenave poszedł do swego pokoju i ubrał się bardzo starannie. W trzy kwadranse później był już na koniu.

Markiz dał mu swego najlepszego konia, i gdyby p. de Villenave był mu puścił cugle, najdłużej w godzinę byłby przeleciał przestrzeń, która dzieli Rochepinte od Planche-Mibray. Ale p. de Villenave pod wrażeniem ostatnich uwag markiza, nie spieszył się wcale.

Przeciwnie, zdawało mu się, że zawsze przybędzie za prędko.

Gdy spostrzegł w oddali dzwonicę w Coulanges, niepokój jego powiększył się. Odczytał raz jeszcze bilet baronowej, i znalazł go trochę zimnym. Więc taka była odpowiedź na jego list płomienisty?

Niedaleko Coulanges p. de Villenave zdybał żandarmów, którzy szli do posterunku.

Nie mógł się wstrzymać od lekkiego drgnięcia. Żandarmi przeszli, kłaniając mu się, ale zdawało mu się, że naczelnik spojrzał na niego trochę z ukosa.

— Jakiż ja dziwny! — szepnął sam do siebie. — Wszak Corinna i Michał już dawno w grobie! — i puścił trochę cugle koniowi, który pogonił raźniej.

Przejechał Coulanges.

Kłaniano mu się, ale wydawało mu się, jak gdyby te ukłony nie były tak pełne uszanowania i względów, jak trzy dni temu, gdy odjeżdżał do Rochepinte.

Nareszcie, gdy był już w alei zamkowej, ściągnął cugle koniowi. Jakoś dziwnie nie spieszno mu było.

Ogrodnik stał koło bramy zamkowej.

— Gdzie pani? — zapytał.

— W zamku — odpowiedział ogrodnik i odszedł spiesznie.

P. de Villenave zajechał przed zamek.

Słysząc odgłos kopyt końskich, stary Jan wyszedł i ujął cugle, które mu rzucił p. de Villenave.

— Gdzie pani? — zapytał znowu.

— W wielkim salonie — odrzekł Jan.

— Czy zapowiesz mię?

— To bez potrzeby, pani oczekuje pana.

Jan mówił, nie patrząc na niego; głos nawet drżał mu trochę.

P. de Villenave zmarszczył brwi. Potem skoczywszy lekko na ziemię, wszedł do przedpokoju.

W przedpokoju tym wisiało ogromne źwierciadło o ramach rzeźbionych.

Przechodząc p. de Villenave spojrzał w nie i znalazł się strasznie bladym.

— Cóż to! — mruknął do siebie — czy tracę zmysły? — i drżącą rękę położył na klamce, zapukawszy.

— Proszę wejść! — odpowiedział głos wewnątrz.

P. de Villenave otworzył drzwi i zatrzymał się trochę zdziwiony na progu.

Pani de Planche-Mibray ubrana była zupełnie czarno, chociaż powiedziała, że nie będzie już nosić żałoby po Maugeville'u, a żałoba po mężu dawno się skończyła.

P. de Villenave wzruszony zbliżył się, chcąc pocałować ją w rękę, ale zatrzymała go skinieniem, wskazując mu fotel.

— Panie de Villenave — rzekła — mamy pomówić z sobą o rzeczach ważnych.

— Pani!... — szepnął i równocześnie starał się dodać sobie odwagi, mówiąc do siebie z cicha:

— Ona lubi ostentacje, i uroczyście ofiaruje mi swoją rękę! — i usiadł na krześle, które mu wskazała.

— Panie de Villenave — rzekła baronowa głosem spokojnym i cichym — nim ci odpowiem na list twój dzisiejszy, pozwól mi zrobić jedno pytanie.

— Proszę, mów pani.

— Wszak znasz pan wiele artystek teatralnych?

Drgnął, ale w ten moment uspokoił się.

— Odegra mi jakąś scenę zazdrości! — pomyślał sobie.

— Znam je prawie wszystkie — odpowiedział.

— A więc znasz pan Paulinę Régis?

Zbladł trochę, usłyszawszy to imię.

— O! znam ją, ale bardzo mało.

— Jednakże chciałeś ją użyć jako narzędzie?

— Ja?

— Dając ją za kochankę Manuelowi de Maugeville! — dokończyła zimno baronowa.

P. de Villenave czuł, że wszystko w nim drętwieje. Jednakże zebrał całą odwagę.

— Wiem, zkąd pochodzi ta niecna potwarz — rzekł.

— A! to potwarz?

— Potwarz niegodna! a raczej nie, to plotki ohydne! — i p. de Villenave zdawał się gwałtownie oburzony.

— I któż to zrobił podobną plotkę? — zapytała zimno baronowa.

— To to nikczemne stworzenie, ta Paulina Régis,

która się zakochała w tym biednym Manuelu i która bezemnie...

— Doprawdy?!

— Ta nędznica — ciągnął dalej p. de Villenave, który sądził, że baronowa słucha go z uwagą — ta nędznica ośmieliła się do mnie napisać.

— Kiedy?

— Przed tygodniem.

— O co?

— Prosząc mię o przysługę. Meble jej były zabrane... miano ją fantować... potrzebowała trzydzieści tysięcy franków... odmówiłem, a wtedy...

— Wtedy?

— Pomściła się, jak się zdaje, pisząc pani cały ohydny szereg kłamstw.

— Tak — odrzekła baronowa — no, ale ten list, który do pana pisała, prosząc o trzydzieści tysięcy franków?...

— Cóż?

— Czy masz pan go?

— Zniszczyłem.

— Źle pan zrobiłeś, bo jakże mogę mu uwierzyć?

P. de Villenave zdawał się być w prawdziwej rozpaczy.

— Mój Boże! — zawołał — dlaczego nie pozwalasz umarłym powracać?!

— A gdyby powrócili, cóżby uczynili? — zapytała baronowa zimno.

— Coby uczynili? — powtórzył p. de Villenave, podnosząc głos. — Gdyby Maugeville mógł wyjść z grobu, powiedziałby ci pani, że byłem jego najlepszym przyjacielem, i że byłem niezdolny...

P. de Villenave nie dokończył, bo drzwi w głębi salonu otwarły się na oścież, a głos starego Jana zaanonsował:

— Pan de Maugeville!

I p. de Villenave nieprzytomny, drżący, obaczył wchodzącego Manuela, opierającego się na ramieniu Pauliny Régis. A gdy się cofał, przerażony tem zjawiskiem, Manuel spojrzał na Paulinę, mówiąc:

— Ależ powiedz pani temu człowiekowi, że skłamał!..

P. de Villenave tak się przestraszył, że chciał rzucić się do drzwi i uciec. Ale stary Jan zagrodził mu wyjście, a stając we drzwiach, odezwał się:

— O! nie jeszcze, to się nie skończyło!

XII.

P. de Villenave był sino-blady. Nigdy zwierz dziki, schwytany w łapkę, nie wydaje straszniejszych głosów.

Spadła również maska obłudy, którą ten człowiek nosił zawsze na twarzy. Cynizm wybuchł gwałtownie i śmiałość powróciła.

— A! a! — zaśmiał się p. de Villenave — on nie umarł! Winszuję ci mój kochany.

I chcąc nadrobić śmiałością, obrócił się do baronowej, starając się mówić tonem jak najbardziej pogardliwym:

— Doprawdy pani, ponieważ p. de Maugeville powraca z drugiego świata, albo z tego, mniejsza o to zresztą! nie potrzebujesz pani komponować tej całej komedji i tej dziwnej sprzeczki o tę dziewczynę, którą dziwi mię widzieć u pani — i wskazał palcem na Paulinę.

Baronowa zdawała się być nieczułą.

— Nie wypada mi nic, jak tylko się oddalić — rzekł głosem głuchej ironji — życząc wam obojgu, pani i panu de Maugeville, wszelkiej pomyślności! — i raz jeszcze chciał zbliżyć się do drzwi.

— Zostań pan! — rzekła baronowa, a głos jej był pewnym, rozkazującym.

P. de Villenave zaśmiał się dziko.

— Czy chciałabyś pani przypadkiem — odezwał się — zrobić mię świadkiem swego szczęścia?

— Potrzebuję, abyś pan został — odrzekła.

— A jeżeli ja nie zechcę, cóż?...

W tejże chwili człowiek ten zapomniał nawet o swojem wychowaniu. Złość i gniew opanowały go.

— Zostaniesz pan — rzekła baronowa — bo mam z tobą pomówić o twoim wuju.

P. de Villenave cofnął się o krok.

— Moim muju! — szepnął — moim wuju!...

— Tak, o twoim wuju, który został zamordowany.

— Bredzisz pani! — rzekł głosem głuchym — mój wuj zabił się na polowaniu.

— Myślałam tak wczoraj jeszcze — odrzekła zimno baronowa, i mówiąc to, pociągnęła za taśmę u dzwonka, która wisiała niedaleko od niej.

W tejże chwili drzwi te, któremi wszedł już p. de Maugeville z Pauliną, otworzyły się znowu, i człowiek jakiś wszedł.

Dla pana de Villenave była to głowa Meduzy! Upadł na kolana, szepcząc:

— Umarli powracają!

— I prowadzą winnych na rusztowanie! — krzyknął stary Jan.

Baronowa powstała, spokojna, dumna, z oczami pałającemi. Poszła prosto do pana de Villenave, mówiąc z spokojem sędziego:

— Panie de Villenave, w żyłach twoich płynie kropla krwi Planche-Mibray'ów, i to szczęście dla ciebie. Słuchaj mię pan, słuchaj dobrze, bo chwila jest uroczysta. Rusztowanie cię czeka, a jednakże ja chcę cię uratować. Nie chcę, by imię człowieka, którego czczę pamięć, włóczono po sądach. Bywają wypadki, w których mordercy tak są jakoś dziwnie umieszczeni, że byłoby to jeszcze raz zabić ich ofiarę, oddając ich w ręce sprawiedliwości. Widzisz pan ten pulares? Jest w nim sto tysięcy franków. Jan weźmie go z sobą. Wsiądziesz z nim do dyliżansu pocztowego. Jan towarzyszyć ci będzie aż do Havre. Tam wsiądziesz na okręt odpływający do Indji, i opuścisz Francję na zawsze. W chwili twego odpłynięcia, Jan odda ci sto tysięcy franków... A teraz panie — dodała baronowa — z człowiekiem takim jak pan, trza się mieć na ostrożności. Mógłbyś zamordować Jana, okraść go, i nie pojechać wcale. Przewidziałam ten wypadek. Jan wyszle mi telegram z Auxerre, Paryża i Havre. Jeżeli za pięć godzin nie otrzymam telegramu datowego z Havre, oznajmującego mi twój odjazd, składam w sądzie w Auxerre zeznanie pisemne tego człowieka — i wskazała na Michała.

P. de Villenave był pobity.

— Wychodź pan teraz — dokończyła baronowa, wskazując mu palcem drzwi.

— No, chodź pan — zawołał Jan, biorąc go za barki. — Gdybyś został dłużej tutaj, piorun z nieba spadłby na nas!

P. de Villenave wyszedł, popychany przez starego sługę.

Wychodząc obaczył wszystką służbę zgromadzoną, patrzącą na niego z pogardą. Pochylił głowę, a łzy wściekłości zabłysły mu nagle w oczach.

Jan wyprowadził go tak aż na podwórze.

Powóz był już wyciągnięty i konie wyprowadzone. Trzeba je było tylko jeszcze zaprządz.

— Józefie — krzyknął Jan na furmana — czy jużeś gotów zabrać pana de Villenave?

— Naturalnie — odpowiedział furman. — I ciężki kłopot spadnie z głowy!

Jan wszedł do stajni, zostawiając pana de Villenave na podwórzu. Ale nim odszedł, odezwał się z ironją:

— Mogę pana zostawić, nie ma obawy! Nie należysz pan do ludzi, lekceważących sobie sto tysięcy franków, i pewny jestem, że nie uciekniesz!

Podczas gdy Jan pomagał furmanowi zaprzęgać konie, p. de Villenave pełen gniewu i wściekłości, mruczał:

— Powinienem był zabić tę kobietę!

Ale p. de Villenave nie miał broni.

Nagle zdawało mu się, że szmer jakiś dziwny doleciał jego uszu, a raczej jakiś jęk.

Jęk ten pochodził z za drzwi sąsiednich obok stajni. P. de Villenave słuchał.

Wyraźnie jakby jęk dolatywał go, i poznał głos kobiecy.

Wtedy ulegając jakiemuś instynktowi, a raczej potrzebie gwałtownej rozerwania myśli w tem położeniu okropnem i strasznem, rzucił się do tych drzwi. Klucz był w zamku. Otworzył je.

W kącie tej niskiej izby, która była niegdyś stajnią dla koni do polowania, p. de Villenave spostrzegł leżące jakieś ciało ludzkie, które wiło się konwulsyjnie. Zbliżył się i poznał kobietę.

Była to cyganka Dolorés, która miała ręce i nogi związane, i dla której przeznaczono dawną stajnię za więzienie.

Cyganka zdawała się być w szalonej rozpaczy i jęczała:

— Ach! gdybym mogła się rozwiązać... zabiłabym ją!

P. de Villenave zbliżył się do niej i zamknął drzwi za sobą.

— Cicho! — szepnął.

Cyganka poznała go i umilkła.

— Kogo zabiłabyś? — zapytał Villenave.

— Baronowę.

— Czem?

— Sztyletem, który zapomnieli mi zabrać, głupcy!

— A więc czekaj... — rzekł Villenave.

Schylił się i zaczął rozwiązywać sznury, któremi powiązana była.

Podczas gdy Villenave uwalniał ją z tych więzów, Dolorés mówiła:

— Mam sztylet wschodni pod suknią. Ostrze jego zatrute.

Nareszcie Dolorés była wolną i stanęła na nogach.

— A więc idź! — rzekł Villenave. — Ona jest w wielkim salonie.

Ale nagle cyganka skoczyła do niego.

— Ona potem — zawołała — ty pierwej, bo to ty zabiłeś Munita — i uderzyła go sztyletem w piersi.

P. de Villenave krzyknął, ale nie upadł, rzucił się przeciwnie zakrwawiony na Dolorés, wyrwał jej sztylet i pchnął go w jej piersi.

Na hałas tej walki, i krzyki straszliwe, jakie wyprawiali, zaczęto się zbiegać.

Jan i furman przybiegli pierwsi.

Panu de Villenave udało się rzucić Dolorés i dobił ją sztyletem. Ale to pchnięcie, które wymierzyła mu Dolorés, było dobrze skierowane, bo w chwili, gdy ludzie zamkowi zbliżyli się, chcąc go uprowadzić, upadł bezwładnie na Dolorés konającą, krew buchnęła mu z ust, jęknął ostatnie przekleństwo i skonał.

— Pani baronowa przebaczyła — rzekł Jan — ale Bóg sprawiedliwy wymierzył karę!

EPILOG.

Powieść ta rozpoczęta we krwi i rozwiązana we krwi, więc musi się kończyć rusztowaniem.

Fanfreluche i Michał oddali się sami sprawiedliwości, pierwszy, jako galernik uciekły z galer, drugi, jako prawdziwy zabójca Corinny Destremont.

P. de Maugeville pojechał spiesznie do Paryża, i wyjednał ułaskawienie dla starego galernika.

Ale Michał, z matką i swymi braćmi, stanął przed sądem przysięgłych w l'Yonne. Wszyscy czworo skazani zostali na śmierć.

Sędziowie chcieli wnieść rekurs o ułaskawienie dla Michała, ale on ich błagał, aby tego nie robili.

— Poprawiłem się — mówił im. — Gdybym poszedł na galery, stałbym się może znowu złym!

Wszyscy wstąpili jednego dnia na rusztowanie. Jan i Szymon zdawali się trochę wzruszeni.

Jedynie tylko stara Balthazar spoglądała na rusztowanie nie blednąc nawet, i patrzyła na swoje dzieci ścinane jedno po drugiem z obrzydłym cynizmem.

Wstąpiła ostatnia i rzekła, oddając się katom:

— Przynajmniej nie powiedzą, że zostawiam sieroty!

Michał zginął pierwszy.

Do ostatniej chwili trzymał przy ustach krucyfix, który podał mu kapłan, przygotowujący go na śmierć.

W chwili gdy kaci prowadzili go, spojrzał smętnie na tłum, okalający rusztowanie, i pomiędzy tym morzem głów spostrzegł i poznał Bréhaigne.

Stara kobieta dotrzymała słowa, przyszła się popatrzeć na śmierć Klary Balthazar, a gdy Michał spojrzał na nią, podniosła rękę w górę, i wskazała mu niebo!

. . . .

A Paulina Régis?!

Przechodząc wieczorem koło lasku Bullońskiego od strony Saint-James, widzieć można śliczną willę, której ściany ocienione bluszczem, a w parku wielkie i wspaniałe drzewa.

Rzuciwszy wzrokiem niedyskretnym po za kratę, spostrzedz tam można w ogrodzie młodą kobietę, ubraną bardzo skromnie, a przytem elegancko, o cerze bladej i uśmiechu melancholijnym.

To Paulina Régis. która się stała sławną artystką, i która na polu sztuki szukała pociechy, tak jak inni w murach klasztornych.

Nie ma ona żadnego wielbiciela i nie chce mieć męża.

Wielu konkurentów młodych, bogatych i z dobrej rodziny, ubiegało się o jej rękę.

— Nie chcę mieć innego pana i inne bóstwo, nad sztukę! — odpowiada.

Prawie co dnia, wieczorem, elegancki ekwipaż zatrzymuje się u drzwi tej willi.

Kobieta młoda jak Paulina, i ładna jak ona, wysiada z niego, trzymając za rączkę ślicznego trzyletniego chłopaczka, o włoskach kręconych i usteczkach różowych.

Obie kobiety ściskają się serdecznie, chłopczyk, któremu na imię Paulo, rzuca się w objęcia ładnej artystki, nazywając ją „chrzestną mamą." Kto jest młoda kobieta, odgadłyście piękne czytelniczki, nieprawdaż? nazywała się niegdyś baronową de Planche-Mibray. Dziś nazywa się panią de Maugeville, a wielka pani i artystka, kochają się jak dwie rodzone siostry.

KONIEC.

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.